

WIEŻY MAGII SĄ SILNIEJSZE
OD WIEŻÓW KRWI

ŻARLIWA
DUSZA

BREE
BARTON

Young

BREE BARTON

ŻARLIWA
JUSZA

PRZEŁOŻYŁA
Patrycja Zarawska

Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Soul of Cinder

Redaktorki prowadzące: Ewelina Kapelewska, Ewa Pustelnik

Wydawczynie: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Ewa Popielarz

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Projekt okładki: Joel Tippie

Mapa: © Virginia Allyn

DTP: Maciej Grycz

Soul of Cinder

Copyright © 2021 by Bree Barton.

Published by arrangement with HarperCollins Publishers.

All rights reserved.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Young

an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Patrycja Zarawska, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2022

ISBN 978-83-67069-41-0

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



NIEGRZECZNE
KSIĄŻKI





Rozdział 1

KAŻDY STRZĘP

QUIN CHCIAŁ ZADAĆ MU BÓL.

Od chwili, gdy ujrział mężczyznę chwiejnie stojącego na końskim grzbiecie – jego czoło lśniło od potu, nadgarstki były związane, a szyję oplatała pętla brudna lina przywiązana do gałęzi powyżej – Quin miał ogromną ochotę spłoszyć tego konia, by uciekł. Usłyszeć mokre, wyraźne trzaśnięcie kości.

– Jest tam kto? – wychrypiął tamten głosem suchym jak pył.

Quin zastanawiał się, od jak dawna pojmany przez kogoś jeniec może tutaj wisieć. Jego kobyła najwyraźniej nie miała nic przeciwko takiej sytuacji. Stała sobie spokojnie, opędzając się ogonem od białych much.

– Proszę – odezwał się znów uwiązany. – Jeżeli tam jesteś, proszę, pomóż mi.

Quin, stojący za młodnikiem czar-drzew, nie zdradzał swojej obecności. W palcach mrowiła go niespożyta energia. Wciąż nie mógł się temu nadziwić, zdumiewał go niespokojny żar własnych dłoni.

Magia.

Nie miał już przy sobie żadnego z dwóch kamieni – ani czerwonego strzyżyka z *fojuenu*, ani czarnego koła o siedmiu szprychach, którym Angelyne posłużyła się jako bronią pod pałacem Śnieżnej Królowej. „Śmierć jest ostateczną osią – powiedziała – i przekrzywia wasze uporządkowane żywioły, przesuwając je na bok”. Gdy wokół niego waliły się ściany, o mało nie stracił znacznie więcej. Jakoś udało mu się wydostać z pałacu – tylko po to, aby po chwili dać się zasypać lawinie. Zbite zwały śniegu napierały mu twardo na twarz, ręce zostały przygniecione do boków, biel spowiła go tak szczelnie, że zamieniła się w czerń. Nie mógł oddychać.

Gdy tracił już niemal przytomność, poczuł, że rozgrzewają mu się dłonie. Otaczającą go białą masę zabarwił dymnoczerwony poblask. Śnieg zaczął topnieć, przechodzić w miękką breję.

Dopiero kiedy Quin, z trudem łapiąc oddech, podźwignął się na kolana, zobaczył szkarłatne płomienie migoczące wśród własnych palców. Wypalił sobie drogę ratunku.

But jeńca ześliznął się z końskiego grzbietu. Mężczyzna ledwie zdołał utrzymać równowagę.

– Nie wiem, kim jesteś – załkał – ale dam ci wszystko, co posiadam. Przysięgam na czterech bogów... na Cztery Wielkie Boginie... czy w kogokolwiek wierzysz.

„Komukolwiek wierzyłem”, pomyślał Quin.

Kwestia wiary była w rzeczywistości kwestią władzy. A władza, jak się okazywało, sprowadzała się do magii. Prawdziwe pytanie, które sobie zadawał, wyczołgując się spod śniegu, brzmiało: czy te dwa kamienie obdarzyły go magią? A może drzemała w nim już od dawna? Cicha, rosnąca władza, wzbierająca w nim nawet w chwilach największej słabości?

A może zaistniała właśnie z powodu tych chwil. Odkąd uciekł ze śnieżnego królestwa, całymi godzinami rozpatrywał długą listę strat, włącznie z tą pierwszą. Wspomnienia spadały na niego jak brutalne razy. Ruch cieni w krypcie. Chłód ojcowego spojrzenia. Nauczyciel muzyki krzyczy, a Quin stoi bezradny, ani drgnie.

Ilekcję pomyślał o grozie tamtej nocy, dłonie rozpałała mu bolesna, żarłoczna gorączka.

Żadna Dujia nie pofatygowała się, żeby go uczyć magii. Po co miałyby to robić? Zakładały, że jest pozbawiony mocy, władzy. Każdy był o tym przekonany, odkąd Quin pamiętał. Najpierw jego ojciec, wstydzający się syna i znęcający się nad nim za to, kim on jest. Potem Mia Rose, gdy wciągnęła go w awanturę, o którą się nie prosił. Następnie Pilar d'Aqila – łuczniczka, która wypuściła strzałę i o mało go nią nie zabiła, lecz za to inną strzałą uśmierciła jego siostrę, Karri.

Rzecz jasna, bardziej niż ktokolwiek inny uczyniła go bezwolnym Angelyne Rose. Sterowała nim przez kilka miesięcy, raniła go i znieważała, grzebała mu w głowie i sercu tak skutecznie, że nawet gdy nie trzymała go już pod urokiem, mechanicznie wykonał jej wolę, nawet nie musiała naciskać.

Jeżeli faktycznie magia rodzi się z zakłócenia równowagi mocy – gdy jakaś osoba zostanie pozbawiona władzy nad

własnym ciałem, umysłem i duchem – było jedynie kwestią czasu, by Quin rozkwitł niczym Dujia.

Gdy się wydostał spod lawiny, która powinna go była po-
grzebać na zawsze, dostrzegł odpływającą z portu Łódź. Wi-
dział, dosyć niewyraźnie, jedynie trzy ludzkie sylwetki, ale
choć ich nie rozpoznał, nie miał wątpliwości, co to za osoby.
Angelyne. Pilar.

Mia.

W tym właśnie momencie uświadomił sobie prawdę. Ni-
gdy go nie kochały. Żadna z nich. Pokręcone Siostry wybrały
siebie i zawsze tak będzie. Myśli Quina spowiły się mrokiem,
gdy patrzył, jak Łódź sunie w stronę Pembuki, szklanego króle-
stwa – na zachód. Trzy siostry zdradziły go i zostawiły na pew-
ną śmierć, sądząc, że jest zbyt słaby, by przetrwać. Zapragnął
je za to spalić. Zapragnął spalić kogokolwiek – każdego – kto
choćby raz posądził go o słabość.

I oto wreszcie nadarzyła się okazja.

– Błagam – wystękał jeniec, wytrącając Quina z rozmyś-
lań. – Błagam, miej litość.

Litość. W starym języku to słowo oznaczało nagrodę.

Przez kolczastą gęstwinę gałęzi Quin uważnie przyjrzał
się wychudzonej, pobladłej twarzy mężczyzny. Brązowy kil-
kudniowy zarost ostro kontrastował z ziemistymi policzka-
mi. Mocno zarysowany podbródek. Nabiegłe krwią niebie-
skie oczy.

Quin doskonale znał tę twarz. Bądź co bądź byli kuzynami.

Pomyślał o innym zagajniku, gdzie natknął się na Tristana,
który przygniatał pod sobą Karri, usiłując ją zgwałcić. Zda-
wało się, że było to kilkanaście lat temu, a zarazem jak gdyby
wczoraj. Quin, na wpół oszalały z gniewu, natarł na kuzyna,

żeby ratować siostrę – to bodaj jedyny akt prawdziwej odwagi w jego życiu.

Zetknął kilka razy opuszki palców, patrząc na budzące się migotliwe czerwone płomyki. Ostatnio miał coraz lepszą celność. Odkąd opuścił Luumię, zabił ognistym ułkuciem trzy stworzenia, trafiając prosto w gardło. Przy króliku miał wyrzuty sumienia. Przy gronostaju mniejsze. Przy dorodnym zającu jeszcze mniejsze. Sam sobie oprowił i przyrządził mięso.

Kuzyn byłby jego największą do tej pory zwierzyną łowną. Nie żeby Quin miał wobec niego jakieś plany kulinarne. Śmierć Tristana będzie nagrodą samą w sobie.

Quin wyszedł na polankę.

– Cześć, kuzynie – przywitał się.

Twarz Tristana rozjaśniła się, lecz tylko na moment – zaraz wykrzywił ją strach.

– Q-Quin – wyjąkał. Najwyraźniej wołał, by jego wybawca okazał się kimś innym.

Kobyła zarżała i strzepnęła ogonem. Zaczynała się niepokoić.

– Proszę – wyszeptał Tristan. – Jeśli zrobi choć krok, nawet nie złamię karku. Uduszę się.

Quin zawsze umiał obchodzić się ze zwierzętami. Potrafił łatwo je uspokoić łagodnym słowem, miękkim dotykiem.

Tym razem nie zdobył się ani na jedno, ani na drugie.

– Powiedź coś! – poprosił Tristan.

Quin pomyślał o wszystkim, co mógłby powiedzieć. Wygłosić pełną pasji mowę o zdeprawowaniu duszy kuzyna. Zawieszać głos (jak wisi Tristan!), by urzeczona publiczność spijała każde słowo z jego ust. Quin miał talent do sztuk polegających na udawaniu. Jako królewski syn pisał, reżyserował

i odgrywał na scenie przedstawienia. Czasem jakaś kucharka czy pomywaczka przybywały aż z zamkowych kuchni, żeby obejrzeć występ, ale najczęściej Quin sam był swoją publicznością i jedynym odtwórcą ról.

Jaki pożytek przyniosły mu słowa? Nie miały żadnej mocy. Cuchnęły słabością, zdradzały samotnego aktora kryjącego się za solilokwium. Puste kwestie wypowiedane przed pustą widownią.

– Żegnaj, kuzynie – rzekł i uniośł rękę.

Mógł wycelować w klatkę piersiową, wrazić ogniste ostrze w serce i zabić Tristana natychmiast. Nie chciał jednak, by stało się to tak szybko. Chciał, żeby stopy kuzyna ześliznęły się z grzbietu klaczy. Chciał, aby życie uszło z niego pośród charczenia i bulgotu. By ten gwałcieciel, złączony z nim więzami krwi, cierpiał.

Płomień wyskoczył z dłoni Quina. Szkarłatna strzała osmałiła mu palce, gdy wystrzeliła ku kostkom Tristana.

Lecz w ostatniej sekundzie ogień pomknął spiralnie w górę niczym czerwony korkociąg rozżarzonych iskier i przepalił napiętą linę łączącą szyję kuzyna z drzewem.

Tristan upadł ciężko, lądując ukosem na koniu. Krzyknął z bólu. Quin rzucił się naprzód, ale było za późno – wierzchowiec popędził galopem w las, a Tristan przywarł desperacko do jego boków.

Quin zaklął, zły na swoje zawodne ręce. W głowie miał przecież jasno wytknięte, czego chce, skupił się, by nagiąć magię do swej woli. Czemu go nie posłuchała?

Gdzieś w głębi serca przewinał mu się powiew ulgi, jak pasmo porannej mgiełki. Mimo tego wszystkiego, co zrobił, co był zmuszony robić, nie umiał odebrać życia człowiekowi.



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059